

Urodziłam się na korcie

Wersja ekonomiczna do druku.



Załącznik do scenariusza:
„Dża-Dża. Urodzona na korcie”



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

niepodległa

Opracowanie:

KONCEPT
Kultura



Materiał edukacyjny uzupełnia pokazy filmu VR „Dża-Dża”.

PIERWSZE PIŁKI

Zbieram piłki. Robię to z ogromnym zapałem; od rana do wieczora uwijam się po korcie i z każdym dniem jestem szybsza. Jednocześnie przypatruję się grze starszych tenisistów. A grywały wówczas na kortach AZS rakiety tej miary, co Szwede, dr Potuczek, Zachar. Nazwiska te ściśle wiążą się z historią naszego tenisa.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy w życiu wzięłam raketę do ręki. Wiem tylko, że było to w przerwie między spotkaniami starszych. Odbiłam piłkę prawdziwą raketą, taką piękną raketą z wypolerowaną rączką i brzęczącymi strunami. Piłka frunęła leciutko na drugą stronę kortu. Uczyniła ledwie dostrzegalny kozioł i chłopak stojący naprzeciw mnie nie mógł już jej dosięgnąć. Zdążyłam wykonać jeszcze kilka ruchów i nawet nie zauważyłam, że gromadka starszych tenisistów stanęła wokół placu i przyglądała mi się z zainteresowaniem. Któryś z nich powiedział: — Brawo, Jadzia!

Od tej pory każdą wolną od zbierania piłek chwilę wykorzystuję na grę z kolegami. Cieszę się z każdego udanego odbicia, staram się, aby piłki, spadały w upatrzone miejsca. Niestety, są to bardzo krótkie chwile — po prostu kradzione.

Dziś jeszcze tęsknię za tymi pierwszymi wzruszeniami na korcie, za tą grą, którą można by nazwać „grą ukradkiem”. Dawała mi wtedy tyle radości. Równocześnie zaś dojrzywało skryte marzenie o prawdziwym tenisie. Niestety, aby grać, trzeba by kupić sobie bardzo drogą raketę, trzeba by wiele pieniędzy płacić za wynajęcie placu i piłek...

I tak jestem w szczęśliwym położeniu; moi chlebodawcy mnie lubią (bo dobrze zbieram piłki) i w drodze wyjątku pożyczają mi swoje rakiety...

— Jadziu, tylko uważaj, żeby struna nie pękła! — mówią za każdym razem. Często zdarza się, że zawodzi czyjś partner. Wówczas podaję piłkę na raketę. Całe dni spędzam na kortach.

Gdy miałam lat dziesięć, zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej. Nie mogłam już tyle godzin poświęcać tenisowi. Jednak szkołę pokochałam na równi ze sportem. Uczyłam się zawsze pilnie, nauka przychodziła mi łatwo.

W szkole poznałam wiele dzieci, były to na ogół dzieci robotników. Podczas pauz organizowałam zabawy, ścigaliśmy się na podwórzu, czasami grywaliśmy szmacianką. Po powrocie do domu żyłka sportowa brała jednak górę — często rzucałam książki do szafy i biegłam na kort. Chciałam chociaż popatrzeć, jak inni grają. Zdarzało się nawet, że zapominałam o obiedzie i dostawałam w domu porządną burę.

Któregoś dnia ojciec przywołał mnie do siebie i powiedział: — Wystrugałem dla ciebie raketkę z drzewa. Nie będziesz już potrzebowała pożyczać od tych tam panów.

Cóż to była za radość! Ojciec nie mógł zrobić mi większej przyjemności. Nie rozstaję się odtąd ani na chwilę z raketką; idąc spać, wkładam ją pod poduszkę, tak jak inne dziewczynki ukochaną lalkę.

W nocy przychodzi mi do głowy pomysł: zorganizuję własny klub tenisowy!

Na drugi dzień po powrocie ze szkoły zwołuję wszystkich chłopców z sąsiedztwa. Pokazuję im raketkę i zachęcam, aby wystrugali podobne. Po kilku dniach liczba drewnianych łopatek rośnie. Mobilizuję wszystkich malców z okolicy, w jednej z alei parku krakowskiego urządzamy kort — mały placyk z wyrysowanymi liniami.

Mamy nawet jedną prawdziwą piłkę — taką sobie wyszarzałą biedulę wycofaną już z obiegu, którą łaskawie ofiarował nam jeden ze starszych graczy. Rozgrywamy mecze, a nawet turnieje. Biję wszystkich chłopaków ile się tylko zmieści.

- My już z tobą nie chcemy grywać – powiedział wreszcie Stasiek.*
- Ty jesteś dla nas za silna. Idź sobie z powrotem na kort.*

MISTRZOSTWA POLSKI

Moje ciche marzenia spełniły się, kiedy miałam lat piętnaście (był rok 1927). Zostałam dopuszczona do mistrzostw Polski, które miały się odbyć na kortach AZS w Krakowie, a więc na terenach, które doskonale znałam. Dodawało mi to jeszcze większej otuchy i wiary we własne siły. Gdy dziś z odległości lat patrzę na ten mój pierwszy start w mistrzostwach, rozumiem że był to nonsens. Jakże taka piętnastolatka jak ja (choćby nawet wyjątkowo uzdolniona) mogła z powodzeniem stawić czoło rutynowanemu, dojrzałemu zawodniczkowi? Nikt wówczas nie zastanawiał się jednak nad tym, że będzie to walka nierówna, wymagająca zbyt wielkiego wysiłku od młodego organizmu.

W pierwszych latach historii tenisa polskiego jeszcze nie istniała oddzielna konkurencja dla juniorów. Wprowadzono ją dopiero w wiele lat później.

Klub jednak chciał koniecznie mnie wystawić. Przypuszczano, że zdołam zdobyć punkty. Poza tym zaś przyjemnie się było pochwalić przed całą Polską, że w Krakowie wychowano zdolną tenisistkę. Co tu zresztą dużo mówić, ja również chciałam za wszelką cenę spróbować swych sił. Ostatecznie zostało postanowione — startuję w wielkim turnieju. I tu nowe zmartwienie. Dowiedziałam się, że warunkiem udziału w mistrzostwach jest biała bluzeczka i śnieżna spódniczka z falbankami oraz długie, białe pończochy, bowiem wyjście na kort bez pończoch uważane było wówczas za wielkie wykroczenie przeciw dobrym obyczajom towarzyskim...

Co teraz pocznę? Nie miałam białej sukienki, a kupno tenisowego kostiumu było oczywiście niedoścignionym marzeniem. Wszystkie moje oszczędności poszły na kupno książek szkolnych, a odkąd przestałam zbierać piłki, nie miałam żadnych dochodów. Rodzice nie byli w stanie kupić mi sukienki. Wiele łez wylewałam po nocach przez ten przeklęty kostium. Zawezwano mnie do sekretariatu klubu. Wybrałam się tam, ogarnięta strachem, że nie będę mogła startować.

— Jadziu, musimy ci zakomunikować ważną nowinę — usłyszałam — klub postanowił zakupić dla ciebie kostium tenisowy. Musisz to docenić, nasz związek jest przecież biedny i mamy tylko fundusze zebrane ze składek członkowskich, więc rozumiesz... Musisz się za to postarać zagrać bardzo dobrze.

Skakałam do góry i gdybym się nie wstydziła, wdrapałabym się, jak przed kilku laty, na najwyższe drzewo w krakowskim parku. Lecz radość trwała krótko. Gdy tylko otrzymałam kostium, ubrałam się w niego czym prędzej i poszłam pokazać się na kortach. Było tam właśnie kilka dam z „towarzystwa”. Spostrzegłam znów dobrze mi znane drwiące uśmieszki, które wyraźnie mówiły: „Cóż to za skandal, co za maskarada, tej smarkatej kupiono sukienkę za nasze pieniądze. Do reszty przewróci się jej w głowie — takiej «dziewczynie od zbierania piłek»”. Cała moja uciecha prysła w jednej chwili. Czułam się tak upokorzona, że łzy stanęły mi w oczach. Tymczasem nadszedł początek mistrzostw. Rano odbyło się losowanie.

I tu znów katastrofa: dowiedziałam się, że już w pierwszej kolejce mam się spotkać z Wandą Dubieńską. Poczułam się jak na okręcie, który natknął się na minę. Wiem, że ta pani mnie nie znosi, że protestowała przeciwko przyjęciu mnie do klubu, że nadal traktuje z góry „dziewczynę od podnoszenia piłek”, córkę robotnika. Poza tym nie kryła się nigdy z tym, że uważa mnie za antytalent tenisowy. Mówiła przecież nieraz, że ze mnie nie będzie nigdy zawodniczki o wysokiej klasie i że nie warto się mną opiekować, bo każdy grosz inwestowany w moją osobę jest wyrzucany w błoto.

Oczywiście teraz Dubieńska będzie chciała za wszelką cenę udowodnić, że miała rację, i zagra z wielką ambicją. A ja przecież nie znam jej sposobu gry.

Wchodzę na kort z mocnym mimo wszystko postanowieniem zwycięstwa. Wkładam w moje uderzenia cały zapal piętnastoletniej dziewczyny. Już nie uderzam piłek, lecz walę w nie z całej siły. Dziwię się, że Dubieńska wszystkie te „strzały” precyzyjnie odbija. Stoi w głębi kortu i bez trudu odpiera ataki. Nadaremnie szukam jakiejś luki na korcie. Moja partnerka znajduje się zawsze na stanowisku. Byłam wówczas jeszcze zbyt głupia i niedoświadczona, aby obmyślić jakiś plan i taktykę gry. Nie przyszło mi na myśl, aby wywabić przeciwniczkę do siatki, a potem mijać lub lobować. Tracę coraz bardziej głowę, brak mi tchu. Przegrywam pierwszego seta 1:6. Spostrzegam na twarzy mojej partnerki złośliwy uśmieszek, uśmieszek, który tak dobrze znam.

KŁOPOTY W SZKOLE

Zapominam o tenisie i uczę się teraz chętnie i dużo. Uczęszczam do szkoły ekonomiczno-handlowej. Pewnego dnia dyrektor szkoły, Weigel, wezwał mnie do kancelarii. Czułam przez skórę, że czeka mnie jakaś przykra rozmowa. Zapukałam nieśmiało. Dyrektor kazał mi wejść i szczelnie zamknąć drzwi. Minę miał bardzo srogą. Przez chwilę wydawało mi się, że znajduję się na korcie i zaczynam poważny mecz, który za wszelką cenę muszę wygrać.

Dyrektor chrząknął i od razu przystąpił do ataku: — Uczennice z mojej szkoły nie mogą należeć do klubów sportowych. Ja żadnych sportsmenów nie mam zamiaru u siebie tolerować. To wielki wstyd dla naszej szkoły! Proszę natychmiast opuścić te mury i więcej nie pokazywać się w klasie!

To było jak uderzenie obuchem w głowę. Zaniemówiłam — bo cóż miałam na swe usprawiedliwienie? Wiedziałam, że dyrektor postępuje w myśl przepisów. Dygnęłam przed nim i opuściłam kancelarię, Dyrektor przybrał minę człowieka, który zdemaskował przestępcę.

Idę do klasy, zbieram książki i zeszyty, żegnam się z koleżankami, które nie mogą pojąć, co się stało. Wracam do domu wolnym krokiem i rozmyślam „Czyż mam rezygnować, czy ten mecz jest ostatecznie przegrany?” Gra w tenisa zdążyła mnie już nauczyć nieustępliwości i odporności wobec przeciwności. Postanowiłam walczyć do ostatka. Tak łatwo nie poddam się! Oczywiście w domu miałam nieprzyjemność. Matka na wiadomość o wyrzuceniu mnie ze szkoły zaczęła płakać. — Widzisz, Jadziu, miałam rację. Zawsze mówiłam że z tego tenisa nic dobrego nie wyjdzie.

— Niech mama nie płacze, jeszcze wszystko dobrze się skończy. Zobaczysz mama, że powrócę do szkoły — pocieszałam ją jak mogłam. Usiadłam do stołu. Zredagowałam długi list, który wysłałam do Warszawy do Polskiego Związku Tenisowego z prośbą o interwencję u władz oświatowych. Czekałam na odpowiedź przez wiele tygodni, do szkoły nie chodziłam i marnowałam czas. Wreszcie otrzymałam decyzję przychylną. Ministerstwo zdecydowało się uczynić dla mnie wyjątek.

Bodaj był to istotnie jedyny wyjątek, ministerstwo bowiem stało na straży przepisów: żaden z uczniów nie mógł należeć do klubu sportowego. W ten sposób ówczesne władze oświatowe właściwie wypowiedziały otwartą wojnę powszechnemu wychowaniu fizycznemu. Wielu uczniów, którzy nie chcieli wyrzec się sportów, przybierało w klubach pseudonimy. Tak na przykład znałam kilku bokserów, którzy walczyli pod pseudonimami, a więc „Teddy” (Pietrzykowski) czy Kajnar (Cyraniak) i wielu innych.

Pan dyrektor Weigel powitał mnie z bardzo kwaśną miną, lecz nie mógł sprzeciwić się decyzji ministerstwa.

Wspomnę tu jeszcze, że po ukończeniu czteroletniej szkoły podstawowej starałam się o przyjęcie do gimnazjum urszulanek. Niestety, nauka w tym zakładzie kosztowała zbyt drogo. Przez dłuższy czas ubiegałam o uzyskanie ulg w opłatach, lecz kierownictwo szkoły kategorycznie mi odmówiło.

PRZEPROWADZKA DO WARSZAWY

W pewnej chwili piłka pada przy samej siatce, biegnę, aby ją odbić, i nagle odczuwam dotkliwy ból w nodze. Zniesiono mnie z kortu. Na szczęście wypadek ten był niegroźny, lecz przez kilka tygodni nie mogłam grać.

Zimę spędzam w Krakowie. Moja starsza siostra Zosia otrzymała posadę, pracuje w firmie Solvay pod Krakowem. Przykro mi, że siedzę w domu i nie pomagam rodzicom. Uzyskanie odpowiedniej pracy stało się poważnym problemem. Jeślibym się zdecydowała na posadę w którejś z firm prywatnych czy też w przedsiębiorstwie państwowym, musiałabym pożegnać się na zawsze z tenisem wyczynowym. Wiedziałam, że żaden dyrektor nie zwolniłby mnie na ani jeden turniej, a gdybym pozwoliła sobie na opuszczenie choćby kilku dni, zostałabym zwolniona z pracy.

Czy mam tylko grywać w tenisa?... Jestem zbyt rozsądna, abym wybrała tę drogę. Gdy tak rozmyślałam o mej przyszłości, zjawił się w Krakowie jeden z warszawskich tenisowych działaczy i przedłożył mi konkretne propozycje: zaproponował mi, abym przeniosła się do Warszawy i została zawodniczką Legii. Klub ten posiadał własne korty, przejawiał dużo ruchliwości i inicjatywy, organizując wiele spotkań międzynarodowych. Legii zależało bardzo, abym grywała w jej barwach. Obiecano mi mieszkanie oraz posadę... — Jak to?... A więc będę mogła pracować i grywać w tenisa?

Wyjaśniono mi, że mam otrzymać pracę w przedstawicielstwie firmy Dunlop. Podczas zimy praca w biurze — ale w sezonie mogę dowoli grywać w tenisa, pod warunkiem jednak... używania tylko rakiet Dunlopa. Wielkie firmy produkujące sprzęt tenisowy angażowały niemal wszystkich czołowych graczy. Do ich obowiązków należało grywanie rakietami produkowanymi przez wskazaną fabrykę. Dowiedziałam się, że w Anglii wszystkie turnieje z wyjątkiem Wimbledonu i Queens Clubu organizowane są wyłącznie przez wytwórnię sprzętu tenisowego. One to finansują tego rodzaju imprezy i delegują swych graczy, którzy jednocześnie kierują zawodami.

Dla licznych sportowców system ten był wysoce demoralizujący. Przemysłowcy dawali im do ręki kawałek chleba. Wielu sławnych tenisistów nie zdobywało żadnego fachu. Starzeli się, przestawali grywać, sława przemijała z wiatrem, a byli mistrzowie stawali się jednostkami społecznie bezużytecznymi. Nadszedł dzień pożegnania z moim domem w parku krakowskim, z którym łączyły mnie tysiące wspomnień. Matka stała na progu. Nie zapomnę jej łez. Już nigdy nie będziemy razem, już nigdy nie powrócę do domu i nie podzielę się wiadomością o zwycięstwie, a matka nie będzie mnie pocieszać po klęsce.

Ilekoć bywam dziś w Krakowie, staram się odszukać tak drogie memu sercu miejsca. Niestety, nic z nich nie pozostało. Tam, gdzie stał nasz dom i znajdowały się korty, przebiega dziś ulica.

Po przyjeździe do Warszawy okazało się, że znalezienie mieszkania nie jest sprawą łatwą. Wszelkie poszukiwania nie dały rezultatu. Skończyło się na tym, iż wraz z siostrą musiałam zamieszkać w pokojach umeblowanych.

FINAŁ W WIMBLEDONIE

Czuję pierwsze symptomy zmęczenia, oddech staje się nieco krótszy, zaczyna męczyć bieganie do dalszych piłek. Spojrzałam na Round i zrozumiałam, że jest również bardzo wyczerpana. A więc o wyniku zadecydują nerwy.

Round zaczyna szczęśliwie i prowadzi 2:1. Zdobyłam się na jeszcze jeden wielki wysiłek i przyspieszam tempo. W ten sposób wyrównuję i siłą rozpędu wygrywam, jeszcze dwa gemy. Prowadzę 4:2.

Dwa gemy dzielą mnie od mistrzostwa świata... Myśl o nich nie daje mi chwili spokoju. Jestem bardzo zdenerwowana. Zaczynam grać źle, moje piłki o centymetry mijają się z linią. Czuję się bardzo odosobniona. Nie ma nikogo życzliwego obok kortu, który by poradził jaką taktykę w tak ważnej chwili mam zastosować. Tracę dwa gemy. Obie mamy po cztery. Publiczność szaleje, oklaskuje wszystkie udane piłki Angielki. Round prowadzi 5:4. Serwuję, powinnam wygrać tego gema, muszę za wszelką cenę.

Jeszcze raz wyrównuję – mamy po pięć gier. Jestem już u kresu sił. Round podaje piłki, dwoją mi się w oczach, nie mam żadnej, przegrywam gema na sucho. Nadchodzi ostatnia szansa – serwuję. Podaję silnie i Round psuje piłkę, lecz przy następnym uderzeniu mam już tak zmęczoną rękę, że dwie kolejne piłki pakuję w siatkę. Nieco później Round odpowiada mi na bekhend i znów autuję. Angielka osiąga już 40:15, jeszcze się bronię, piłka wędruje kilka razy nad siatką, wreszcie ucieka mi z rakiety i pada za linią.

Round zdobywa mistrzostwo świata. Trzeba umieć nie tylko wygrywać, lecz i przegrywać. Podbiegam pierwsza do Doroty. Uśmiecham się do niej, winszuję zwycięstwa.

W szatni jestem zupełnie sama. Nikt mnie nie pociesza, nie mogę już powstrzymać łez. Długo płaczę. I znów nastąpił konflikt pomiędzy moimi dwoma „wewnętrznymi głosami” jeden nakazuje nadal szlochać, powrócić do hotelu i natychmiast położyć się do łóżka, lecz drugi głos, głos wicemistrzyni świata, kategorycznie zaprotestował. Muszę teraz pokazać się w łoży dla zawodników, trzeba dowieść, że Polka potrafi z godnością znieść gorycz porażki. Naprzód, głowa do góry! Wchodzę na trybuny. Zbieram gratulacje wszyscy się do mnie uśmiechają.

Podchodzą dziennikarze, proszą o wywiady.

— Zgubiły mnie nerwy— odpowiadam im. — Z Round grałam kiedyś przed laty, była to zupełnie inna tenisistka — teraz zmieniła całkowicie system gry i tym mnie zaskoczyła. Ach, gdybym mogła jeszcze raz w życiu z nią walczyć!

A oto właśnie i Round we własnej osobie. Była to miła dziewczyna, bardzo skromna, z zawodu nauczycielka z prowincji Anglii. Uścisnęłyśmy sobie jeszcze raz dłonie.

— Nie martw się, Dżed — powiedziała Dorota — jeszcze nadejdzie dla ciebie godzina rewanżu. Muszę ci się przyznać, że w trzecim secie myślałam, że już jest po mnie. Zaskoczyłaś mnie tempem i bardzo się zmęczyłam. Wszystkie moje plany taktyczne, tak misternie wypracowane przez wiele dni, nie zdały się na nic wobec twoich brawurowych ataków. Finał dzisiejszy był dla mnie o wiele cięższy niż ten, kiedy po raz pierwszy zdobyłam mistrzostwo świata, bijąc w finale Jacobs.

Do rozmowy dołączyła się Alicja Marble. którą pokonałam w półfinale. Była podniecona i zdenerwowana.

— Ach, Dżadża, jak śmiałaś zmarnować taką wspaniałą szansę! Mogłaś wygrać i powinnaś wygrać, bo jesteś w tej chwili najlepsza na świecie. Dlaczego masz takie słabe nerwy i ten jakiś niezrozumiały kompleks niższości?... Odniosłam wrażenie, że gdy w trzecim secie prowadziłaś 4:2, przestraszyłaś się, że możesz wygrać. Zaczęłaś grać ostrożnie i to cię zgubiło. Wtedy to właśnie Dorota zdołała przyjąć do siebie.

Podszedł do mnie również sam wielki „Big Bill” Tilden, który znajdował się w Wimbledonie w charakterze dziennikarza i zapytał mnie prosto z mostu: — Dlaczego tak strasznie bałaś się wygrać?... Gdy prowadziłaś w ostatnim secie, zaczęłaś robić wszystko, aby przegrać. Zwolniłaś tempo, dopuściłaś Round do bekhendu i pozwoliłaś jej chodzić do siatki. Nie martw się jednak, Dżadia. Jesteś jeszcze tak młoda. Ja wygrałem po raz pierwszy Wimbledon, gdy miałem już lat 40.

GOSPODA „POD KOGUTEM”

Była to po prostu nocna spelunka zwana karczmą „Pod Kogutem”, ponieważ tam zbierali się przed świtem, jakby w oczekiwaniu koguciego piana zapóźnieni goście, którzy przed powrotem do domu chcieli łyknąć filiżankę żurku, stanowiącą specjalność lokalu.

Właściciel karczmy p. Szajnowicz, który miał wielu przyjaciół wśród sportowców, wyraził zgodę wynajęcia „na procent”. Liczył się z tym, że popularni sportowcy ściągną sporą klientelę. Nawiasem mówiąc siostrzeniec p. Szajnowicza — doskonały pływak, Iwanow-Szajnowicz, jak się okazało po wojnie, przebywał w czasie okupacji w Grecji. Dokonał tam wielu bohaterskich czynów umieszczając miny pod kadłubami statków. Podczas jednej akcji poległ w walce z hitlerowcami.

Pierwsze „skrzypce”, jako najbardziej popularny, grał „Pod Kogutem” oczywiście Janusz Kusociński. Ja z moją siostrą Zosią, Marysią Kwaśniewską i Ignacym Tłoczyńskim staraliśmy się dotrzymać mu kroku. Początkowo gospoda „chwyciła” i szła bardzo dobrze. Odwiedzało ją sporo sportowców nawet starszego pokolenia, liczni kibice oraz przyjaciele sportu. Niektórzy stali się stałymi bywalcami, choć nie każdy mógł sobie codziennie pozwolić na filiżankę kawy. Wpadali też niektórzy sportowcy, aby się pożegnać. To byli ci, którzy postanowili przejść przez Tatry na Węgry i dalej przedrzeć się do Francji, aby wstąpić w szeregi formowanej tam Armii Polskiej.

A w ogóle bywalców można było podzielić na dwie kategorie: na tych „nadzianych”, z dużą forszą i tych lichych, którzy z trudem mogli wysupłać kilka groszy. Właśnie ta druga kategoria była najczęściej bardzo wartościowa, to byli chłopcy, którzy chcieli walczyć i swe życie oddać za wolność. Właśnie oni grupowali się wokół Kusocińskiego, szukając kontaktów. Bo wkrótce zaczęto szeptać, iż Janusz Kusociński rozpoczął szeroką akcję konspiracyjną.

W „Pod Kogutem” można było codziennie przeczytać najświeższą prasę podziemną i wysłuchać najnowszych, często nieprawdziwych i przesadzonych, ale podtrzymujących na duchu wiadomości. Takim specjalistą od dostarczania wiadomości był Ignacy Tłoczyński, który po zamknięciu gospody nadal pełnił z zapałem rolę „żywej gazety”.

Janusza widywałam codziennie, z licznych z nim rozmów mogłam wyciągnąć wniosek, że był wielkim optymistą. Wierzył, że wojna szybko się zakończy, że potęga hitlerowska jest bluffem i wkrótce zostanie złamana. „Kusy” całą duszą nienawidził hitlerowskich Niemiec, z którymi tak dzielnie walczył w obronie Warszawy. Nie mógł on jednak zrozumieć istoty hitleryzmu.

Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że Niemcy, którzy ubóstwiali sportowców, a nawet jego — inwalidę zaprosili na igrzyska olimpijskie w Berlinie, mogli teraz zrobić jakąś krzywdę popularnemu zawodnikowi. Nie dostrzegł piętna, jakie wywarł na Niemcach reżim hitlerowski. I zapewne dlatego był zbyt mało ostrożny w robocie konspiracyjnej, do której zgłosił się natychmiast i brał w niej bardzo aktywny udział i jak się po wojnie okazało odnosił w niej poważne sukcesy. Niestety nie zachowywał dostatecznej czujności. A jako mistrz olimpijski był zbyt dobrze znany, aby gestapo nie zwróciło na niego uwagi. Nietrudno się domyślić, że gospoda znalazła się wkrótce pod obserwacją agenta gestapo i różnych konfidentów. (...)

Jednym z zadań Janusza było opracowanie rozlokowania w Warszawie i niektórych miejscowościach podwarszawskich oddziałów wojskowych Wehrmachtu oraz ich dowództw, magazynów, fabryk i wytwórni broni. Jednak najbardziej doniosłą akcją było zdobycie listy osób ze świata polskiej nauki i działaczy społecznych, którzy mieli być wkrótce aresztowani. Zapewne „Kusemu” udało się zdobyć ten ważny dokument przy pomocy jakiegoś gestapowca, być może sportowca. Jak to się stało, nigdy zapewne nie uda się wyjaśnić. On jednak nie wiedział, że na jednej z takich list — ludzi, na których zapadł wyrok śmierci — figuruje i jego nazwisko. Janusz został aresztowany, o ile mnie pamięć nie myli, w dniu 26 marca 1940 roku w nocy w bramie domu, w którym mieszkał, przy ul. Noakowskiego. Na drugi dzień rano pod gospodę zajechała „buda” i zabrała nas wszystkich pracowników na Szucha. Zostaliśmy tam postawieni twarzami do ściany i kto ośmielił się odwrócić był natychmiast brutalnie kopany lub bity. Na szczęście po zbadaniu wszyscy zostaliśmy wypuszczeni na wolność.

Od tego czasu gospoda „Pod Kogutem” przestała istnieć.

POWOJENNE CZASY

We wrześniu 1944 roku znalazłam się razem z siostrą Zofią w Międzyborowie pod Żyrardowem. W styczniu wybrałam się pieszo do wyzwolonej Warszawy. Nigdy w życiu nie zapomnę chwil wejścia do stolicy po długiej i ciężkiej wędrówce. Wydawało mi się, że jestem na wielkim cmentarzysku. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć — gruzy i ruiny, potworne zniszczenia, zgliszcza i mogiły. Warszawa przestała istnieć. Warszawa umarła. Byłam wówczas przekonana, że żadna siła nie potrafi powołać jej znów do życia. Z trudem, omijając zabarykadowane ulice, doszłam do Przemysłowej na Powiślu, gdzie mieszkałam przed wybuchem powstania. Mój dom został spalony. Z licznych, a tak dla mnie drogich, pamiątek nie pozostało nic. Z setek fotografii i różnego rodzaju zdobytych przeze mnie nagród został tylko popiół. Jedyną pamiątką, którą ocalałam, był srebrny medal wimbledoński. Zabrałam go ze sobą wychodząc z Warszawy.

Po zakończeniu wojny zamieszkałam w Bydgoszczy i wtedy odczułam tęsknotę za tenisem. Zaczęłam oglądać się za jakimiś zdatnymi do użytku kortami. Niestety, wszystkie tereny sportowe zostały zdewastowane przez cofające się w popłochu wojska hitlerowskie. Na kortach biwakowały parki samochodowe, toteż place były doszczętnie zryte kołami. Nadawały się do odbudowy jedynie boiska tenisowe na stadionie miejskim. Wkrótce zebrała się dość liczna grupka wielbicieli tenisa i rozpoczęliśmy pracę.

Przypomniały mi się dziecinne lata, kiedy z każdą zbliżającą się wiosną, nie mogąc doczekać się sezonu tenisowego, pomagałam przy porządkowaniu kortów w parku krakowskim.

Byliśmy naprawdę szczęśliwi, gdy pierwszy kort był wreszcie gotów. Lecz wtedy wyłoniła się nowa trudność: musiałam „skombinować” jakiś kostium sportowy. Kilka wieczorów poświęciłam na uszycie szortów tenisowych, zesztukowanych z różnych małych gałganków. I znów stanął mi przed oczami moment, kiedy za dziecinnych lat klub ofiarował mi białą sukienkę, abym mogła po raz pierwszy startować w mistrzostwach Polski. Byłam wówczas dzieckiem, nie zdawałam sobie sprawy, że sukienka, która wtedy sprawiła mi tyle radości, była tylko darowizną z łaski dla biednej dziewczyny, której start był potrzebny dla zaspokojenia ambicji klubowych kierowników.

O ileż cenniejszy jest ten mój dzisiejszy kostium sportowy, zrobiony własnymi rękami z łąchów!

Głęboko utkwiał mi w pamięci moment, gdy po raz pierwszy stanęłam ponownie na korcie. Rakieta wydała mi się ciężka — jak ołowiana. Podbiegłam z trudem do pierwszej piłki, uczyniłam wielki zamach i... nie trafiłam. Już po kilkunastu minutach byłam niezmiernie zmęczona, brak mi było tchu, w głowie wirowało. Nic dziwnego, ważyłam wówczas 52 kilo, a przed wojną moja przeciętna waga wynosiła 75 kg. Po prostu nie miałam teraz sił.

Nie należę jednak do ludzi, którzy szybko kapitulują. Zaczęłam trenować systematycznie. Odżywiałam się coraz intensywniej. Przybywało mi na wadze. Grałam z każdym dniem lepiej, choć szczerze mówiąc ten tenis, który wówczas uprawialiśmy w Bydgoszczy, trudno było nazwać prawdziwym tenisem.

Po pewnym czasie zorganizowaliśmy jednak spotkanie Bydgoszcz–Inowrocław, a we wrześniu pierwszy turniej o mistrzostwo Bydgoszczy.

Wszystkie fragmenty pochodzą z książki *Urodziłam się na korcie* Jadwigi Jędrzejowskiej.



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

niepodległa

Opracowanie:

KONCEPT
Kultura

Monika Rejtner
Anna Osiadacz
Anna Piątkowska
Zygmunt Fit

Film „Dża-Dża” sfinansowano ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Projekt finansowany ze środków budżetu Państwa
w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości
oraz odbudowy polskiej państwowości.